

Pergamin

Zapytano mnie czy umrę. Prawdę mówiąc każdy kiedyś umiera i całe nasze życie to osvajanie się z śmiercią. Patrzymy jej codziennie w oczy.

Choroba Raynaud'a nie jest jednak śmiertelna. To tylko mróz i pękające naczynia krwionośne. Zimno od którego nie ma ucieczki przesywające każdą komórkę ciała, trochę bólu, a później zostają już tylko sińce i sen.

Gdy ktoś mnie o to pyta nieraz odpowiadam mu z uśmiechem. Śmieję się, a ludzie, którzy nie krwawią patrzą na mnie z przerażeniem. Człowiek szybko przyzwyczaja się do oblicza abstrakcji.

„Dzieci wesoło wybiegły ze szkoły. Zapaliły papierosy, wyciągnęły flaszki” - śpiewają „Elektryczne Gitary” w roku 1933. Dziś mamy już rok 2022, a mimo to piosenkę nucę każdego ranka idąc do szkoły. Jest 14:25, lekcje skończone. Powoli wchodzę na plac przed szkołą. Od razu uderza we mnie zapach dymu tytoniowego. To pierwsze co rzuca się tutaj w oczy. Wszędzie dym, wszędzie duszno. Nie zawsze byłam chora. Inaczej, zawsze ale dopiero w tym roku choroba się uaktywniła. Teraz przez popękane naczynia chodzę o kuli. To znacznie mnie spowalnia. Tkwię więc w otaczającej mnie chmurze dymu. Mam słabe płuca i brak czasu na duszności. Tramwaj mi ucieknie. Idę więc dalej przed siebie mijając drobny sklepik, w którym licealiści kupują drugie śniadanie. Stojący dookoła koszy uczniowie wyglądają jak duchy. Ponownie znajduję się o krok bliżej do celu i o oddech krócej w życiu.

To zadziwiające kiedy po zimie niebo wieczorem jest wciąż jasne. Nie jest ciemne, zachmurzone. Warszawskie niebo szczególnie nocą zazwyczaj wygląda jak gdyby ktoś rozbił nad nim fiolkę z atramentem. Czasami widać gdzieś połyskujący pominięty przez nieostrożne oko zmieniającego się klimatu sputnik. Często brakuje na nim gwiazd. Jadę tramwajem, jest szesnasta i jest jasno. Patrzę jak życie ucieka przez okno. Do pojazdu wsiadło dwóch chłopców na oko lat osiemnaście. Poruszają się chwiejnie, podchodzą do ludzi. Krzyczą coś do siebie. Odwracam głowę nie chcąc przyciągać ich uwagi. Kieruję wzrok w ich stronę dopiero słysząc głośniejszy niż dotąd krzyk. Jeden z nich, ten starszy z tatuażami wyciąga z kurtki zapalniczkę, odpala i rzuca nią przez pojazd. Drugi łapie ją, śmieje się z wywracającego się towarzysza po czym odrzuca mu ją z powrotem. Zabawa trwa długo. Pozostali pasażerowie wstają, odsuwają się.

Boję się, że zaraz coś podpalą, że coś się zepsuje, że zrobią mi, albo sobie krzywdę. Boję się, że to ostatnie chwile mojego życia. Nikt jednak nic nie mówi, nie reaguje. Siedzimy cicho. Tramwaj sunie dalej po torach niczym wąż w kamiennej dżungli. Drzwi z piskiem otwierają się i zamykają ku uciesze chłopców. Ten wytatuowany wsadza kończyny między rozsuwające się drzwi, wymachuje rękami, nogami i odskakuje tuż przed tym jak metal zatraskuje się. Jego kolega ewidentnie się waha. Czasami odciąga chłopaka od drzwi, czasem zatrzyma się na chwilę zanim odrzuci mu zapalniczkę, czasem próbuje go uciszyć, gdy ten krzyczy, lub wymachuje pięściami nad głową jakiegoś dzieciaka. Po chwili jednak ulega. Wybucha spazmatycznym śmiechem i zabawa trwa. Tramwaj rusza dalej. Mija kolejne budynki, pomniki, a ja mam ochotę krzyczeć. Pomniki te bowiem postawione zostały ku pamięci Warszawiaków walczących w powstaniach. Patrząc na nie mogę uwierzyć, że dawniejsi ludzie byli w stanie oddać za siebie życie, a teraz patrzymy na dwóch chłopców ze świadomością, że zaraz zrobią sobie krzywdę i nikt nie reaguje. Że Ci ludzie nie chcą, lub nie potrafią dostrzec tego co dzieje się przed ich oczami. Że nie chcą, lub nie umieją, a nawet boją się poświęcić część własnego życia na dwóch przypadkowych ludzi. Że nie umieją ich powstrzymać. Że ja też nie umiem.

Chłopcy wysiedli. Mam nadzieję, że nic im się nie stało. Dosiadł się do mnie mężczyzna. Starszy ode mnie, podpity, płaczący się w własnych słowach. Przeszywa mnie wzrokiem i pomimo, że mam na sobie kurtkę boję się, że przebije ją zaraz spojrzeniem, że zobaczy wszystko to co staram się pod nią ukryć. Niedawno ścięłam włosy, chowam twarz pod kapturem, zakładam zbyt duże bluzy. Czasem nienawidzę być kobietą. Ucieszyłam się, gdy parę dni temu podbiegł do mnie chłopiec, na oko pięcioletni. Cieszyłam się równie bardzo co on, kiedy z radością oznajmił mamie: „zobacz, chłopiec ma kulę”. Byłam równie zmęczona co ona, kiedy odpowiedziała mu, że nie powinno się wytykać ludzi palcami, a następnie zwróciła się do mnie: „Przepraszam, Pana”, ale cieszyłam się. Mężczyzna dostrzegł inną, umalowaną dziewczynę z większym dekoltem. Odwrócił się do niej powtarzając przy tym jak w amoku słowa „Piękna, jesteś moja”. Zdaje mi się, że te słowa przepalają mi uszy. Są tak bezceremonialnie płytkie. Zakładam słuchawki, żeby ich nie słyszeć. Takie sytuacje są w komunikacji miejskiej częste. Słowa „nie”, „odsuń się”, „zostaw mnie”, „dlaczego?” padają na podłogę tramwaju niekiedy wraz z słonymi łzami i tak jak one rozpryskują się na tysiące kawałków. Ciągając za sobą asertywność i pewność siebie zapraszają je do gry w chowanego pod siedzeniami i w

odwracanych spojrzeniach. Czy piękno brzmiałoby brutalnie gdybym była chłopcem?

Przesiadłam się. Odczuwam głód, w szkole nie jadłam. Wyciągam z plecaka pierwszą nadającą się do konsumpcji rzecz jaką znajdę. Ciastko, okay. Rzucam krótkie spojrzenie zapisanemu drobnymi literkami regulaminowi. Nie ma podpunktu zakazującego jedzenia. Jest tylko zakaz spożywania alkoholu. Biorę kęs. Jakieś dziecko woła, że ono też jest głodne, ludzie odwracają się w moim kierunku, szepczą, niektórzy wciąż w pandemicznych maskach. Kamera nade mną patrzy mi w oczy, a reklamy zza szyby krzyczą na mnie: „schudnij”. Chowam ciastko. Nie można jeść w tramwaju. Ktoś mógłby zobaczyć, że spożywam cukier, że jem. I co wtedy? To byłoby ludzkie, a w komunikacji miejskiej nie ma miejsca na ludzkość.

Poleciała mi krew z nosa. Siedząc w tylnym siedzeniu patrzyłam jak spływa po ręce. Siedzący obok mnie ludzie też patrzyli. Były to puste, przelotne spojrzenia. Nikt nie zapytał czy nie potrzebuję pomocy, nikt nie próbował dowiedzieć się dlaczego na moich dłoniach jest tyle krwi. Wszyscy jedynie patrzyli. Byłam dla nich jedynie zwykłą dziewczynką. A czy mało jest na świecie zwykłych dziewczynek? Dziewczynek z krwią na nadgarstku? Są i takie, które nadgarstka nie mają. Zwykła codzienność pod szarym niebem.

Zatamowałam krwotok. Wysiadłam. Obiecałam komuś niedawno, że się nie zgubię, lecz tak to już jest z człowiekiem, że jak się nie zgubi w mieście to prędzej czy później zabłądzi w własnym umyśle. Starówka zbudowana jest z otchłani światła. To miejsce budzi się nocą i niczym kryjąca się w mroku Melanocetus wabi tymi światłami. Są wszędzie. Kołyszają się lekko na wietrze sprawiając, że całe to miejsce przypomina akwarium z Neonkami.

Zatrzymuje mnie jakiś Pan. Zbiera pieniądze na leki dla chorego chłopca. Podchodzi do mnie szybkim, zdecydowanym krokiem. Pieniądze w wypełnionej do połowy skrzynce brzęczą wzywając metalowym śpiewem. Odzywa się przyjaznym tonem, zachęca mnie, abym dołączyła się do zbiórki. Potrząsa skrzynką, która wydzwania swoją melodię. Nie mogę jednak tego zrobić, gdyż nie mam tego dnia pieniędzy. A on stoi z uśmiechem i nadzieją czekając aż wyjmę portfel. Odsuwa się jednak na widok starszej Pani ubranej w stare, poniszczone ubrania. Rozpoznaję ją. Czasem na siebie wpadamy, ma trzy córki i niezależnie od tego, czy ludzie trzęsą się z zimna, czy chowają się przed upałem wychodzą one na ulicę, aby prosić o pomoc. Czasem kupuję im jedzenie kiedy akurat wezmę z domu pieniądze. Do melodyjnych dźwięków dołącza dźwięk

kroków. Pan odchodzi. Nie rozumiem, dlaczego nie może wyjąć z skrzynki jednej złotówki, na jedną bułkę. Dlaczego łatwiej jest mu zbierać pieniądze na chłopca, którego nie widzi, niż wesprzeć osobę która przed nim stoi, z którą na siebie patrzą? Ale on już nie patrzy. Zabiera skrzynkę, odchodzi i znów zostaje sama z nadzieją w cudzych oczach. Po chwili zamienia się ona w zrozumienie, dołącza do niej uśmiech wynikający nie z otrzymanych pieniędzy, ale z poświęconego czasu, faktu, że ktoś się zatrzymał, usłyszał. Kobieta dziękuje, życzy mi szczęścia, a następnie odchodzi. Ludzie są jak pergamin. Każdy z nas ma tysiące historii wypisanych na skórze. Czasem liczymy papierowe zacięcia z czasów, gdy ktoś nie był w stanie przyjąć naszych słów, nie widząc, że zapisaliśmy w nim już cały rozdział.

Mijam grupę ludzi, która rozmawia ze sobą w języku migowym. Sama umiem troszeczkę migowego i z chęcią nauczyłabym się go więcej. Zatrzymuję się na chwilę, aby im się przyjrzeć. W plecaku mam list do osoby, która może go nigdy nie dostać. Nie ma w nim wprawdzie nic osobistego, wylewnego. To tylko krótki opis szczęścia. Podoba mi się idea zapisywania swojej historii w listach. Nie z konieczności, czy obsesji na punkcie pozostawienia czegoś po sobie, ale z powodu świadomości, że mam do kogo pisać. Rzadko kiedy daję je jednak adresatowi do przeczytania. To ryzykowne. Są bardzo żywe, waham się czy powinnam ten list przekazać. Jest 30.03.2022. Patrzę jeszcze przez chwilę. W końcu wyciągam szczęście z czerwonego plecaka i zamykam je w żółtej kopercie.